

NOWA KSIĄŻKA MAGDALENY WOLIŃSKIEJ-RIEDI

AUTORKI BESTSELLEROWEJ
KOBIETY W WATYKANIE
I ZDARZYŁO SIĘ W WATYKANIE.

Tajemnice papieskich podróży.
Przejmujące relacje z najodleglejszych krajów.



PREMIERA

13 października

2021



Amaran: F1
5700k
84%
●●●●

0:12:54:06 1 372min RELAY [Battery Icon]
1080-50.00i
AVCHD PH
● 1CONS
P 5600K
[Signal Level] OdB ND:CLR F4.4 Z156

Apu

MAGDALENA WOLIŃSKA-RIEDI PO RAZ KOLEJNY odkrywa sekrety Watykanu!

Nowa książka Magdaleny Wolińskiej-Riedi, autorki bestsellerowego cyklu książek o życiu w Watykanie (*Kobieta w Watykanie*, 2019; *Zdarzyło się w Watykanie*, 2020), to fascynująca opowieść o papieskich podróżach i osobach stojących za ich organizacją.

.....

Kulisy Światowych Dni Młodzieży w Krakowie oczami reporterki.

Osobiste historie z najodleglejszych krajów, takich jak Japonia czy Tajlandia.

Przejmujące relacje z pochłoniętego przez trzęsienie ziemi Amatrice i wspomnienia rozmów z uchodźcami na Lampedusie.

Koronawirus – podróż nieoczekiwana.

Magdalena Wolińska-Riedi jako jedna z nielicznych kobiet mieszkała w Watykanie przez kilkanaście lat. Jest pierwszą kobietą tłumaczem watykańskich sądów i pierwszą w historii dziennikarką na co dzień tam żyjącą. Jako reporterka polskich mediów do dziś stale towarzyszy papieżowi w pielgrzymkach, często nawet siedząc z nim w jednym samolocie.

Dzięki swoim przyjaźniom z pracownikami watykańskiej administracji zgłębiła tajniki przygotowań do podróży apostolskich oraz z pierwszej ręki poznała niesamowite, nigdy wcześniej nie opowiedziane historie.

Ile kosztuje lot z papieżem?

Dlaczego na pokładzie papieskiego samolotu zawsze musi być odpowiedni zapas makaronu i parmezanu?

Kto pilnuje papieskiego paszportu?

Gdzie buddiesi gorąco oklaskiwali papieża?

Jak wygląda praca reporterki w mieście, w którym właśnie trzęsie się ziemia?

Jak wyglądało życie w ogarniętych pandemią Włoszech?

.....

W swoich wcześniejszych publikacjach zabierałam Państwa w podróż po ukrytych zakamarkach świata za Spizową Bramą. Autobiograficzna *Kobieta w Watykanie* przekraczała dotychczasowe granice naszych wyobrażeń o tym, jak wygląda codzienne życie w maleńkim Państwie Watykańskim. Odślaniała codzienność zaledwie czterystu świeckich osób, w tym niewiele ponad dwudziestu żyjących tam kobiet. Ukazywała prozę życia w cieniu kopuły bazyliki Świętego Piotra i w majestacie Pałacu Apostolskiego.

Druga książka, *Zdarzyło się w Watykanie*, oddawała głos dziesięciu niezwykłym osobom: ludziom, którzy za wysokim murem Watykanu przepracowali nawet czterdzieści lat swojego życia. Stali się przez to niewidzialnymi, a jednocześnie w wielu przypadkach niezastąpionymi częściami potężnej watykańskiej maszyny, której nadawali bieg, każdy w obrębie własnych kompetencji. Również i oni – pośród wielu innych, hierarchów i ważnych ludzi Kościoła – dokładali maleńkie cegiełki w mozaice mojego życia za murami Watykanu. W ciągu szesnastu lat zrodziła się między nami prosta międzyludzka więź, która zbudowała wzajemne zaufanie. To ono pozwoliło im otworzyć serca i ożywić pamięć o wielkich rzeczach, jakie były ich udziałem, o historii Kościoła i świata ostatnich dziesięcioleci, która przemożnie wpłynęła na nasze „tu i teraz”.

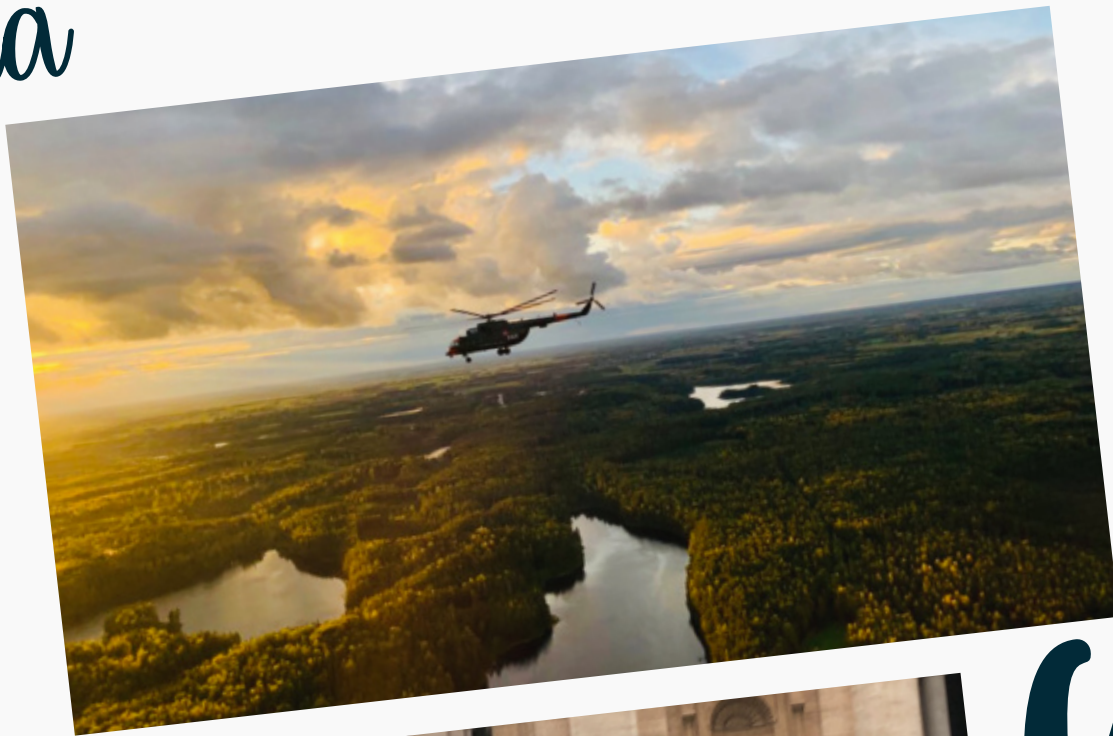
Na kartach obu swoich książek pragnęłam wzięć każdego z Państwa za rękę i przekroczyć razem próg Spizowej Bramy. Wędrować wspólnie po pałacowych dziedzińcach i alejkach słynnych ogrodów, po papieskich garażach i watykańskiej aptece, zaglądać do drukarni i do słynnego magazynu mebli, wsłuchiwać się we wspomnienia spotykanych na ścieżkach Watykanu ludzi, którzy stanowili o jego tożsamości.

Dziś znów zabieram Państwa w drogę – tym razem z mojego Watykanu w świat. Czasem będzie to wędrownica tuż za Spizową Bramę, czasem kilka kilometrów od watykańskich murów, innym razem na antypody, aż po krańce Ziemi... Watykan pozostaje nadal osią tej przygody. To miejsce niemal od zawsze było moim punktem odniesienia. To tu przez wiele lat zasypiałam i tu widziałam pierwsze promienie wschodzącego słońca. Tutaj pakowałam walizki, by wyruszyć w kolejną podróż, a wracając do domu, z pokładu samolotu niecierpliwie wypatrywałam kopuły watykańskiej bazyliki.. Watykan do dziś „towarzyszy” mi w większości moich wojaży, gdy wraz z papieżem odwiedzamy peryferie świata.

Zapraszam Państwa, byście wraz ze mną wyruszyli w niezwykłą podróż na kartach mojej nowej książki.

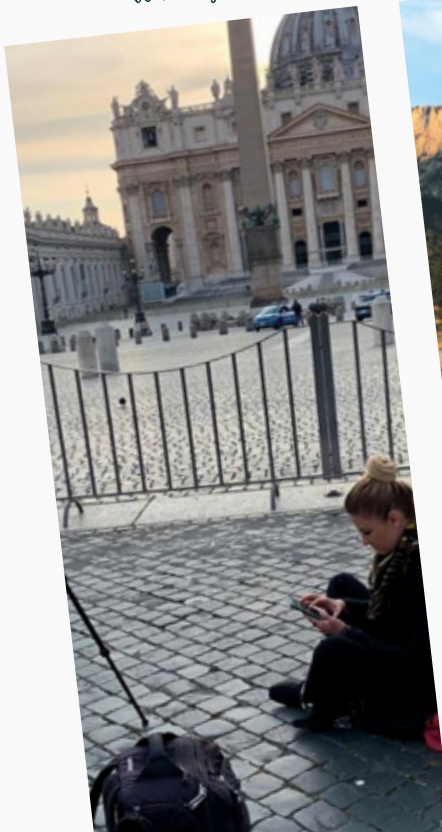
Magdalena Wołńska-Kiedi

Pandemia



Włochy

Lot



sekcja

Lampedusa -

LEKCJA CZŁOWIECZEŃSTWA

Podobnie jak trzydzieści pięć lat wcześniej, kiedy Jan Paweł II swoje pierwsze kroki jako papież skierował do położonego na wysokiej skale i górującego nad okolicą sanktuarium maryjnego na Mentorelli, tak i teraz wybrany przez Franciszka kierunek – Lampedusa – stanowił jasne przesłanie, jaki będzie nurt przewodni tego pontyfikatu. U polskiego papieża tamto jedno popołudnie w październiku 1978 roku stało się wyrazem i kwintesencją całkowitego zawierzenia się Maryi. Obecność „papieża z końca świata” (jak sam siebie nazwał Franciszek w wieczór wyborów na Stolicę Piotrową) na tej łupince orzecha na środku Morza Śródziemnego, bliżej Afryki niż Europy, wskazywała dobitnie oś jego apostołskiej misji: nowo wybrany „człowiek w bieli” podążał na peryferie świata, do granic ludzkiej egzystencji. Kierował swój wzrok na nędzę człowieka w zmaganiach o lepszy byt u bram Starego Kontynentu. Na najuboższych, marginalizowanych, odrzuconych i walczących o przeżycie. Siłą swego spojrzenia chciał ściągnąć na ten zapomniany przez społeczeństwo fragment ziemi oczy całego świata.

To był 8 lipca 2013 roku. Niecałe cztery miesiące po wyborze. Każdy krok nowego papieża, nieznanego szerzej włoskiej opinii publicznej, pracownikom kurii rzymskiej ani mieszkańcom Watykanu, był bacznie obserwowany, szeroko komentowany, a zaraz potem dosadnie interpretowany. Franciszek nigdy nie robił niczego na pokaz, choć po dziś dzień nieraz właśnie to mu się zarzuca. Na Lampedusę wyruszył, jak sam zaznaczył, z pragnienia serca. On, wychowany w ubogiej Argentynie, zaznajomiony ze

zjawiskiem migracji: z południowej Ameryki, z Meksyku, z Gwatemali, z Salwadoru w stronę lepszego świata, do Ameryki Północnej, kosztem zmierzenia się z niebezpiecznym nurtem rwącej Rio Grande i z wysokim murem na meksykańsko-amerykańskiej granicy... teraz wybrał małą wyspę, potencjalny ratunek dla setek tysięcy mieszkańców Czarnego Łądu. (...)

Wizytę Franciszka obserwowałam z Watykanu, w telewizji, u siebie w domu. Uderzające w swej symbolice było wyptynięcie przez papieża z portu Molo Favalaro i wieniec kwiatów rzucony na taflę wody – wyraz pamięci o tysiącach bezimiennych migrantów, którzy nigdy nie dotarli na ląd. I wołanie o przebaczenie wobec naszej ludzkiej obojętności... Mocne słowa Franciszka były niczym echo tego, co wypowiedział Jan Paweł II dwadzieścia lat wcześniej, wcale nie tak daleko od Lampedusy, w mieście Agrigento na Sycylii, na tle cudownego akropolu, kiedy apelując do ludzkich sumień, wołał o sprawiedliwość i o pokój w regionie objętym mafijną przemocą i egzekucjami na niewinnych ludziach.

Teraz Franciszek na Lampedusie też wołał z całych sił: „Non accada mai più” – „Niech nigdy więcej się nie powtórzy!”. Jego orędzie podczas mszy świętej na boisku sportowym „Arena” na wyspie brzmiało mocno i jednoznacznie. Wzywał do żałoby po braciach, którzy zginęli. Do przemiany ludzkich serc. Nawoływał całą Europę do przebudzenia.

łącznie na Lampedusę powracałam do-

tychczas sześciokrotnie. Na początku migranci pojawiali się pośród mieszkańców, zagadywali do lokalnych ludzi, siedzieli na skale nad brzegiem wody. Wtedy, w maju 2015 roku, tuż po przylocie udaliśmy się do centrum miasteczka. Za punkty pierwszego kontaktu obraliśmy ośrodek gminy z biurem burmistrza i kościół parafialny tuż obok głównego deptaka na wyspie, pełnego sklepików, barów i restauracji – słynnej via Roma.

Przed kościołem pod wezwaniem San Gerlando na placu Garibaldiiego grupka dziesięciu nastolatków, na oko – sądząc po bardzo ciemnym kolorze skóry, ładnych, drobnych twarzach i wysmukłych sylwetkach – głównie z Etiopii i Erytrei, grała w piłkę na zaaranżowanym spontanicznie boisku. Kilku z nich przysiadło na schodkach przed samym wejściem do świątyni. Stałam z kamerą. Zapytałam, czy mogę... Nie chciałam nachalnie bombardować ich pytaniami.

Odpowiedzieli twierdząco skinieniem głowy z nieśmiałym uśmiechem i z ciekawością w spojrzeniu. Przycupnęłam. Zaczęliśmy rozmawiać. Samuel mówił z początku łamanym angielskim, ale był francuskojęzyczny i szybko przeszedł na ten język. Od razu poczuł się swobodniej. Miał szesnaście lat. Rodzice przez kilka lat gromadzili pieniądze, by choć do niego mógł uśmiechnąć się los. Trzeba było opłacić przemytników. Kupić synowi „bilet” do lepszego świata. Wyrwać go z nędzy i głodu. Mordercza przeprawa z kraju pochodzenia pod palącym słońcem Afryki do celu, którym jest Lampedusa, trwa zwykle około piętnastu–dwudziestu miesięcy. Często jednak wydłuża się nawet do trzech lat! I tak naprawdę samo pokonanie Morza Śródziemnego – choć nam, mieszkańcom świata zachodniego, może się wydawać, że przeżycie takiej wędrówki graniczy z cudem – jest tylko ostatnim i właściwie najlżejszym etapem całego koszmarnego planu. Samuel trafił na jeden z najbardziej uczęszczanych szlaków, tak zwany Szlak Wschodni, który jest szalenie niebezpieczny. Przechodzi z Erytrei przez Sudan, a następnie Libię aż do Cieśniny

Sycylijskiej. Siedemdziesiąt procent imigrantów docierających na Lampedusę pochodzi z półwyspu zwanego Rogiem Afryki, na który składają się Etiopia, Erytrea, Somalia i Dżibuti. Jeśli chodzi o aspekt społeczno-polityczny, region ten słynie na całym świecie ze skrajnego ubóstwa i tak dużej niestabilności politycznej, że pod względem wskaźnika rozwoju społecznego zajmuje ostatnie miejsce na kontynencie i na świecie. Pierwszy etap migranci pokonują na piechotę, idąc ze swoich miejsc urodzenia czy zamieszkania aż do obozów dla uchodźców – czy to Shagarab w Sudanie, czy Mai Aini w Etiopii. Etiopia i Sudan to kraje, w których imigranci z Erytrei przebywają najdłużej. W tym ostatnim, w Sudanie właśnie, Samuel spędził osiem długich miesięcy. Wszystkimi trasami zarządzają przemytnicy i handlarze ludźmi. Punktem przeładunkowym jest Chartum, stolica Sudanu. Tam migrantów ładuje się na ciężarówkę. Na otwartej przyczepie, ściśnięci, bez wody i jedzenia pokonują całą Saharę. Podczas transportu, którym jechał Samuel, trzy osoby nie dały rady – zmarły z wycieńczenia pod palącym słońcem Afryki. Pierwszy pick-up pozostawia migrantów na granicy z Libią i wraca do Chartumu. Ludzie ci są potem zabierani do innego pick-upa pod egidą libijskich handlarzy. Koszt podróży z Sudanu do Libii waha się od tysiąca do nawet trzech tysięcy dolarów. Większość migrantów dociera ostatecznie do miejscowości Adżdabija położonej w Cyrenajce, kilka kilometrów od wybrzeża Morza Śródziemnego. Z północnej części Libii próbują dotrzeć na wybrzeże w Bengazi (na północnym wschodzie kraju) albo w Zuwarze lub Sabracie (na zachód od Trypolisu i bliżej Sycylii), by tam dostać się na pokład kutra, który dostarczy ich do granic Europy, do brzegów Lampedusy. To w Libii zaczyna się dla nich prawdziwa gehenna. Na wybrzeżu libijskim trzeba zapłacić kolejną partię haraczu, około tysiąca pięciuset dolarów od osoby. Przeprawa nie odbywa się od razu. Migranci trafiają do ośrodków detencyjnych, miejsc znęcania się, przemocy i głodu. Samuel spędził

w Libii kolejnych osiem koszmarnych miesięcy. Zarówno w Nigrze, jak i w Sudanie, ale przede wszystkim właśnie w Libii migranci ryzykują, że zostaną porwani i uwięzieni, i poddani torturom, które w ośrodkach przetrzymujących imigrantów przed początkiem przeprawy przez Morze Śródziemne są tragiczną codziennością. Wiedziałam o tym z artykułów i raportów komisarza do spraw uchodźców. Teraz miałam przed sobą kogoś, kto padł ofiarą tortur bezwzględnych libijskich przemytników ludzi. Chciałam o to zapytać; chciałam, by w opowieści przywołał bolesne doświadczenia z czasów libijskiego więzienia – a z drugiej strony bałam się, że przekroczę delikatną linię intymności, spoza której już nie będzie powrotu. Na moment głos uwiązł mi w gardle, ale jednak zapytałam. Samuel popatrzył na mnie, cisza była bardziej wymowna niż wszelkie słowa. Podciągnął rękawek koszulki. Na wysokości ramienia skóra tworzyła jedną wielką bliznę. To były ślady po drucie kolczastym, którym przywiązywano go do kaloryfera. Był bity i przetrzymywany przez wiele dni bez jedzenia i wody. Niestety w swoich koszmarnych przeżyciach nie pozostawał odosobniony. Statystycznie dziewięciu na dziesięciu migrantów przyznaje, że widzieli, jak tuż obok nich ktoś umiera, jest torturowany lub bity do upadłego... Samuel nie był wyjątkiem. Powiedział, że próbował wtedy przemykać czyi wyobrazić sobie, że jest w ogrodzie w cieniu drzew, słyszy śpiew ptaków i gasi pragnienie wodą bijącą ze źródła.



Sivori, argentyńska salezjanka, od ponad pięćdziesięciu lat była misjonarką w Tajlandii, a teraz miała towarzyszyć papieżowi jako tłumaczka podczas zaplanowanych oficjalnych spotkań. I choć przypadło jej niezwykle zadanie powitania go w Tajlandii w roli następcy świętego Piotra, nazywała go po prostu Jorge, bo był to przecież dla niej nade wszystko bliski człowiek, członek rodziny. Ich dziadkowie byli braćmi. Ostatni raz widzieli się tak naprawdę niewiele wcześniej, w 2018 roku, kiedy z Bangkoku siostra Ana leciała przez Rzym do Argentyny i wpadła odwiedzić kuzyna w Watykanie. Teraz jednak atmosfera była inna. Wciąż bardzo serdeczna, ale i niezwykle podniosła. Wzruszona zakonnica mocno przytuliła swego kuzyna na tajlandzkiej ziemi, kiedy zszedł ze schodków samolotu. Franciszek przybywał z misją specjalną. Pragnął uczcić 350-lecie ustanowienia wikariatu apostolskiego w dawnym Syjamie oraz umocnić w wierze tutejszych katolików, a jednocześnie światu, niezależnie od wyznania, postawić ten kraj i ten naród za wzór, jeśli chodzi o pokojowe współzycie różnych grup społecznych. Tajlandię w dziewięćdziesięciu pięciu procentach zamieszkują buddyści, ale także oni pytali przed przylotem papieża, gdzie można

ia Japonia -

PODRÓŻ NA ANTYPODY

Tajlandia to pięćdziesiąty kraj, który Franciszek odwiedził od początku pontyfikatu. Wyjątkowości powitaniu na lotnisku w Bangkoku dodała obecność jego kuzynki. Siostra Ana Rosa

wziąć udział w spotkaniach z nim i jak zdobyć bilety na uroczystości.

Właśnie to uderzyło mnie najbardziej, gdy taksówką z lotniska jechałam do centrum Bangkoku. Całą okolicę dekorowały gęsto usiane biało-żółte papieskie chorągiewki, plakaty z wizerunkiem Franciszka przyklejone w sklepowych witrynach po tajsku i po angielsku ogłaszały wszem wobec radośnie: „Pope's visit in Thailand”, na ulicach i placach panował klimat ogromnej życzliwości i rodzinnego oczekiwania na specjalnego gościa. Coś, czego potem nie doświadczyliśmy w wyspiarskiej i wyniosłej Japonii. Tajlandia w podekscytowaniu czekała na przesłanie następcy świętego Piotra.

Franciszek dotarł do Azji 20 listopada w samo południe czasu lokalnego. Tuż po wylądowaniu w Bangkoku w papieskim samolocie ruszyła jak zawsze cała machina logistyczno-organizacyjna. Na płycie lotniska czekały na papieża fanfary, szpaler królewskiego wojska, przedstawiciele instytucji państwowych, nuncjusz apostolski i tajlandzcy biskupi – zgodnie ze schematem powitania papieża, o którym już wspominałam, jako głowy Kościoła, a zarazem zwierzchnika Państwa Watykańskiego. Watykan, jak wiemy, to jedyna taka struktura państwowa na świecie, teokratyczna monarchia elekcyjna, gdzie władca wybierany jest przez kolegium oddających na niego głos kardynałów elektorów, ale jednocześnie pełni funkcję pontifeksa – najwyższego zwierzchnika religii, w tym wypadku rzymskokatolickiej.

Zanim Franciszek pojawił się w drzwiach samolotu, na pokładzie panowała już pełna gotowość i mobilizacja. W tylnej części boeinga akredytowani dziennikarze zbierali swoje podręczne bagaże, kamery, statywy i aparaty fotograficzne i kierowali się do tylnych drzwi, by niezauważalnie zejść na płytę lotniska prosto do podstawionych tam specjalnych busów. Tymczasem w części, w której zasiada papieska świta, odpowiedzialni za bagaże żandarmi sprawnie

i bezszelestnie podawali między sobą niektóre z papieskich darów, które specjalnie podczas lotu nie były transportowane w luku bagażowym, ale w schowkach nad głowami w kabinie. To częsty zabieg organizatorów, stosowany po to, by tuż po przylocie szybko i sprawnie można było przekazać te pierwsze prezenty obsłudze obecnych przy powitaniu przedstawicieli władz. Tym razem miały być one wręczone goszczącemu papieża przedstawicielom króla i wysokim urzędnikom państwowym podczas symbolicznej ceremonii powitania.

J
a
p
o
n
i
a



Leckia

MAGDALENA WOLIŃSKA-RIEDI

urodzona w Warszawie w 1979 roku, lingwistka, tłumaczka, producentka i dziennikarka, ukończyła studia magisterskie w Katedrze Italianistyki Uniwersytetu Warszawskiego, studia doktoranckie na Wydziale Historii Kościoła Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie i Akademię Dyplomatyczną PISM w Warszawie. Tłumaczka Trybunału Roty Rzymskiej i Sygnatury Apostolskiej w Watykanie, realizatorka i współproducentka ponad 20 filmów dokumentalnych i seriali o Watykanie i papieżach. Jako wolontariuszka podczas ŚDM w 2000 roku poznała swego przyszłego męża, jednego z członków papieskiej Gwardii Szwajcarskiej. Przez 16 lat obywatelka Watykanu. Od 2014 roku korespondentka Telewizji Polskiej w Rzymie i w Watykanie. Szczęśliwa mama dwóch córek.



znak

kontakt

w sprawie książki

Ewelina Janowska

Biuro Prasowe Wydawnictwa Znak

+48 603 602 434

janowska@znak.com.pl

